

Alfred Siatecki

CHŁOPIEC Z KONIKIEM

– Komenda Miejska Policji w Zielonej Górze, oficer dyżurny, słucham – komisarz Syski jednym tchem wyrecytował formułkę i zerknął na wyświetlacz. Nie licząc krótkiej rozmowy z komendantką jeszcze wieczorem, było to sto osiemdziesiąte szóste połączenie z telefonu komórkowego. Dopiero minęła trzecia, więc do białego rana rekord z zeszłej niedzieli, kiedy Syski także miał służbę, zostanie pobity. Siedzący na sąsiednim krześle pomocnik oficera dyżurnego, aspirant Basta, również cały czas z kimś rozmawiał i coś notował w książce z przebiegu służby. Pewnie gdyby w dyżurce było miejsce dla trzeciego policjanta, również nie miałby kiedy się wysikać.

– Policja? – spytała osoba po tamtej stronie, jakby chciała mieć gwarancję, że połączyła się z komendą, bo niewyraźnie usłyszała to, co po raz sto osiemdziesiąty szósty tej nocy powiedział Syski.

– Komenda Miejska Policji w Zielonej Górze, oficer dyżurny, słucham – powtórzył komisarz wyraźniej i wolniej. Zawsze starał się być z jednej strony miły wobec telefonujących, z drugiej oficjalny. W niedzielę o trzeciej nad ranem najczęściej dzwonią desperaci, ubzdryngolone aparaty i jajcarze. Zdarzają się i tacy, którzy naprawdę potrzebują natychmiastowej pomocy, a że nie wiedzą gdzie jej szukać, dzwonią do policji.

– Ukradli naszego konika! – Wdarł się do uszu komisarza piskliwy głos.

– Nie zrozumiałem, proszę powtórzyć. – Syski pochylił się i przykleił spojrzenie do ekranu monitora. Aha, telefonująca zalogowała się w centrum miasta. Współrzędne pokazywały administracyjny środek Zielonej Góry. Kilkanaście sekund później wiedział, że kobieta, która o trzeciej siedem dzwoni do komendy, stoi na zachodnim zboczu Winnego Wzgórza. Jest na schodach na wprost zejścia do alei Konstytucji 3 Maja i Wrocławskiej. Trzeźwa? Komisarz nie założyłby się z aspirantem Bastą nawet o dziesięć groszy, że kobieta nie wypłała więcej niż powinna.

– Ukradli naszego konika!

– Najpierw proszę podać swoje dane. Nazwisko, imię, skąd i dlaczego pani dzwoni...

Kobieta po tamtej stronie trzeci raz zawołała, że ukradli konika. Którego konika można ukraść z miasta? Co innego gdyby telefonowała z Drzonkowa, gdzie są stajnie, ujeżdżalnie, hipodrom i pewnie tylko duch Majewskiego wie, co jeszcze tam się znajduje.

– Halo, panie komisarzu! – Teraz Syski usłyszał spokojniejszy męski głos. – Jarek Rogalski. Byłem z moją dziewczyną w Palmiarni. Owszem, wypiliśmy, ale nie aż tyle, żeby zgubić licznik i zapomnieć o bożym świecie. Oboje jesteśmy po studiach. Pan mnie rozumie?

Komisarz kiwnął głową i zaraz złapał się na tym, że powinien przytaknąć, bo przecież tamten na Winnym Wzgórzu go nie widzi.

– Na razie wszystko rozumiem. Proszę dalej. O co chodzi?

– Przyjechałem ze Szczecina. Nie znam miasta. Paulina, z którą studiowałem etnologię w Poznaniu, jest stąd, to znaczy z Zielonej Góry. Tu ma rodziców. Jej brat pracuje w Radiu Zachód. Na Boże Narodzenie mamy się pobrać.

– Gratuluję serdecznie i błagam, żeby pan magister się streszczał.

– Jeszcze w Palmiarni Lilly, to znaczy Paulina, moja dziewczyna, powiedziała, że pokaże mi ciekawe miejsce, niedaleko stąd, gdzie jako dziecko prawie każdej niedzieli przychodziła z rodzicami. Ojciec sadzał ją na jakimś koniku, a mama robiła zdjęcie. Potem ojciec sadzał jej brata na tym koniku i mama znowu robiła zdjęcie. Tego Lilly nigdy nie zapomni.

– Panie magistrze...

– Już, już. Zeszliśmy tak gdzieś do jednej trzeciej schodów od Palmiarni w stronę ulicy, Lilly stanęła jak wryta i krzyknęła, że nie ma konika. Ukradli konika!

– Mówi pan o tej rzeźbie, co stoi niedaleko Palmiarni?

– Tu nie ma żadnej rzeźby. Jest cokolwiek, ale pusty.

– Panie...

– Jak Boga Kocham!

– Kosmici ukradli rzeźbę, co, bo kto by inny? Przylecieli z Marsa albo z jakiegoś Saturna i ukradli.

– Moja dziewczyna twierdzi, że...

– Kończ waść, wstydu oszczędź.

– ... tu był chłopiec i konik. Z brązu. Tak twierdzi Lilly. Odkąd ona pamięta, rzeźba zawsze stała na zboczu. A teraz jej nie ma.

– Pana dziewczyna, to znaczy pani Paulina na pewno dobrze się czuje? – spytał komisarz łagodniejszym głosem.

– Nie zaprzeczam, że we dwoje wypiliśmy butelkę miejscowego białego mullera thurgaua z winnicy w Łazie. Mimo to jestem trzeźwy. Jak dzika świnia na zakręcie. Lilly również.

– A może dziewczyna powiedziała, że to byli złomiarze, co? Odcięli żrebackowi głowę, tułów przerznięli na pół, nogi odrąbali. Zabrali konika z kopytami. Ha, ha. I to samo zrobili z chłopcem. Panie magistrze, żeby tę rzeźbę ukraść, najpierw trzeba wtaszczyć na wzgórze jakieś piły, nożyce, młoty. Czy ci, którzy przed wami wychodzili z Palmiarni,

tego by nie zauważyli? A jak złomiarze cięli rzeźbę, to nikt nie słyszał jazgotu piły? Nie widział ich? Mam uwierzyć, że w środku miasta nikt niczego nie zauważył?

– Panie komisarzu, ja naprawdę...

– Fantazjuje pan magister. To znaczy pańska dziewczyna fantazjuje – szydził policjant. Miał na końcu języka, że dziewczyna głądzi jak Duda na stoku, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. – Potwierdzam przyjęcie zgłoszenia. Informuję, że policja postąpi zgodnie z obowiązującymi procedurami. Życzę szczęśliwego powrotu do domu. Radzę jednak wezwać taksówkę.

Syski chciał powiedzieć do swego pomocnika, że różne brednie zgłaszali zielonogórzanie, ale to, co usłyszał przed chwilą, przekraczało jego wyobraźnię. Czy jest możliwe, żeby spod Palmiarni, z samego środka miasta, nawet pod osłoną nocy ukradziono rzeźbę? Jakich trzeba użyć narzędzi, żeby to zrobić? Jak tę rzeźbę znieść po schodach, żeby nikt nie zauważył złodziei? I co z nią dalej?

Fakt, od kiedy przy wejściu na deptak między hotelem Śródmiejskim a dawnym Empikiem stróżuje Bachus z brązu i w zaułkach wokół Starego Rynku rozsiadły się jego pociechy Expertus, Silvanus, Zlopikus, Belferus Zenepus, Aldemus, Magicus Zamiennicus, Uzetikus i jeszcze ze trzydzieści małych kopii boga wina, policja ma dodatkową robotę. W dzień i w nocy, nawet w Boże Narodzenie, radiowóz musi jeździć po uliczkach śródmieścia, a mimo to złomiarze jednym bachusikom odcinają głowy, drugim odłamują ręce i nogi, trzecich kradną w całości. Bo są z brązu. Ale czy tylko złomiarze kradną i wyłącznie dlatego, żeby je sprzedać i mieć na bełt w kartoniku? Może i tacy, którzy chcą oglądać miniaturową rzeźbę przed swoim domem?

Bachusiki są niewielkiego wzrostu, to da się je ukraść, ale nie chłopaka z konikiem. Syski pamięta, że na początku lat sześćdziesiątych, kiedy pierwszy raz poszedł z ojcem na Winne Wzgórze, na schodach stała ta rzeźba. I już wtedy każda wycieczka, każda delegacja oficjalna i mniej ważna, wszyscy, którzy wspinali się po schodach do Palmiarni, zatrzymywali się przy nagim chłopcu próbującym ujarzmić żrebaka. Kobiety podziwiała sylwetkę harmonijnie zbudowanego młodzieńca, głąskały napięte uda i niby w żartach obejmowały jego drobne przyrodzenie. Siusiorek chłopca lśnił, jakby był odlany ze szczerego złota. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś próbował ukraść tę rzeźbę.

Na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia mieszkańcy Krosna Odrzańskiego dowodzili, że do końca lat czterdziestych dwudziestego wieku ten sam chłopiec ujarzmił żrebaka w ich mieście, dlatego powinien wrócić na swoje miejsce, ale ostatnio sprawa zwrotu rzeźby przycichła. Zresztą Syski, Basta i tysiące zielonogórzan nie wyobrażają sobie schodów po zachodniej stronie Winnego Wzgórza bez chłopca z konikiem. To obok Palmiarni i Winobrania najbardziej rozpoznawalny znak Zielonej Góry. Jak kolumna Zygmunta na placu Zamkowym w Warszawie. Jak pomnik Mickiewicza na krakowskim Rynku. Jak figura Chrystusa Króla Wszechświata w Świebodzinie.

Ledwie komisarz skończył rozmowę z Jarkiem, gdy znowu zaczęła pulsować zielona dioda na pulpicie sterowniczym. Syski wduśił guziczek, po raz sto osiemdziesiąty siódmy tej nocy przedstawił się i sięgnął po długopis. Usłyszał, że przez skrzyżowanie Sienkiewicza ze Strzelecką przeszedł nagi chłopiec i koń.

– Kolejny czubek – przykrywszy dłonią główkę mikrofonu, powiedział do aspiranta Basty. A tego, który telefonował, spytał: – Pan na pewno dziś nic nie łyknął?

– Nie rozumiem – usłyszał w odpowiedzi.

– Od wczoraj pan nie wytrzeźwiał czy mimo późnej nocy już coś wypił? Noc z soboty na niedzielę, to niektórzy pozwalają sobie na więcej.

– Podejrzewa pan, że jestem pod wpływem alkoholu i dlatego mam przywidzenia? Wolno panu o to mnie posądzać, ale ani kropelki tego, o czym pan myśli, od dawna nie brałem do ust. Już zapomniałem, jaki smak ma alkohol. Panie policjancie, w moim wieku z rana pije się doppelherz i napar z melisy na sen wieczorem.

– No, dobrze, już dobrze – starał się ułagodzić rozmówcę komisarz. Jeszcze dzia-
duś zadzwoni do komendantki i szefowa mnie opierdzieli jak święty Michał diabła. Jej poprzednik, co innego, a inspektorka nie patyczkuje się z podwładnymi, pomyślał. Będzie miała okazję polecieć po premii albo każe zabierać dupę w troki i wynocha na emeryturę. – To jakiego ducha żeś pan widział o trzeciej piętnaście nad ranem?

– Ducha?... Najpierw pan mnie pyta, czy coś wypilem i o przywidzenia. Teraz duch. Chociaż może z duchami ma to coś wspólnego.

– Streszczaj się pan, panie starszy.

– Pan jest młodszy ode mnie, to jeszcze nie wie, że seniorzy, jak to kiedyś się mówiło, idą spać z kurami i wcześniej wstają. Mnie pięć godzin snu wystarcza. Budzę się o drugiej w nocy i co robić? Czytać? Już nie te oczy. Można słuchać Radia Maryja, ale ja jestem wierzący wątpiący. To wstaję, ubieram się i spaceruję po osiedlu. Zimą przez godzinkę, czasem dwie. Latem dłużej. A gdy pada deszcz... Dziś noc ciepła, przeto podreptałem Strzelecką aż do skrzyżowania z Sienkiewicza, gdzie migają światła.

– Aha, i tam rzucił się panu w oczy goły chłopak prowadzący konia? – przerwał mu komisarz, żeby zakończyć rozmowę. – Zajmiemy się tym.

– Najpierw myślałem, że mi się przywidziało. Ale nie. Chłopak szedł przodem, koń. Właściwie konik. To ja myk za drzewo i potem krok w krok za nimi się skradałem. Jeżeli skręca na podwórze trzeciego liceum, pomyślałem sobie, to na pewno uczniowie. W moich czasach jeszcze bardziej nieprawdopodobne zbytki się robiło.

– No i poszli prosto czy skręcili?

– Skręcili, ale nie do liceum.

– Pewnie na podwórze Gwardii?

– Zgadł pan. Tam brama zawsze jest otwarta.

– A ten konik to jakiego był koloru? Kary, gniady, może... może...? – Syski wybierał w pamięci umaszczenie koni. Przypomniwał sobie, że wiele lat temu nawrócony kome-

dant, jak śmiali się dzielnicowi z komisariatu na Jędrzychowie, próbował zrobić z nich jeźdźców. Najpierw posłał ich na kurs jeździecki do Raculki, a potem wynajął sześć wałachów. Z wysokości końskiego grzbietu policjanci mieli widzieć więcej i lepiej słyszeć. Eksperyment jeszcze się nie zaczął, a już się zakończył, bo zabrakło pieniędzy. – O, może ten konik był maści srokatej?

– Nie znam się na umaszczeniu koni. Z wykształcenia jestem lekarzem, patomorfologiem i specjalistą w zakresie medycyny sądowej. Do niedawna jako wykładowca uniwersytecki prowadziłem zajęcia ze studentami na wydziale lekarskim – pochwalił się rozmówca. – Wracając do konika... Ten, który skręcił ze Strzeleckiej na podwórze Gwardii, na pewno nie był czarny ani siwy. Kolor bardziej kasztanowaty, miedziany z domieszką...

– Może maści bułanej?

– Jakiej?

– Żółto-beżowy. Grzywa, ogon i nogi smoliste. Wzdłuż grzbietu czarna pręga.

– Blisko, blisko. Ale nie. Bardziej brązowawy. Miejscami nawet szarozielonkawy. Na szyi i zadzie jakby pokryty patyną.

– A chłopak?

– Też w kolorze patyny.

– I na pewno chłopak goły jak Pan Bóg go stworzył, profesorze – przypomniał policjant, wyraźnie dając do zrozumienia rozmówcy, że nie traktuje jego informacji poważnie.

– Na anatomii to ja się znam. Powiedziałem, że z zawodu jestem lekarzem. Patomorfologiem.

– Do rzeczy, panie profesorze.

– Chłopak dobrze umięśniony. Taki... naturalnie nabity. Jakby trenował jakiś sport wyczynowy. Najpierw pomyślałem, że skoro Gwardia jest wysokiej klasy klubem strzeleckim, to on uprawia strzelectwo. Potem zmieniłem zdanie. Po co strzelcowi aż tak rozwinięte mięśnie? Mój młodszy wnuk jest wicemistrzem kraju juniorów w strzelaniu z pistoletu dowolnego, to wiem, że w tej dyscyplinie najważniejsze jest opanowanie i wręcz anielska cierpliwość – pochwalił się profesor. – Zaraz, zaraz, przecież w Gwardii kiedyś była sekcja bokserska, a teraz jest kickboxing. To na pewno był kandydat na kickboksera. Ale dlaczego szedł goły? Może mi się przewidziało? Pewnie miał na sobie spodenki.

– Dziękuję panu profesorowi za tę niezwykle cenną informację. Zaraz policja podejmie odpowiednie działania – obiecał komisarz Syski. Zerknął na podświetloną mapkę rozmieszczenia radiowozów. Gdyby któryś był w pobliżu Strzeleckiej, poleci policjantom sprawdzenie, co się dzieje na podwórzu Gwardii. Dla świętego spokoju.

*

– Jesteśmy pod naszym trzecim adresem – mówi chłopiec, zatrzymując konika na podwórzu Gwardii. – Tam – pokazuje na wystający z trawy betonowy cokolik – przez czternaście lat próbowałem cię okiełznać, a ty się nie dawałeś. Twierdziłeś, że podporządkujesz się mojej woli, ale dopiero wtedy, kiedy ja stanę się mężczyzną i ty wierzchowcem. Za naszym ojcem powtarzałeś, że razem będziemy stanowić podziwianą parę: rasowego konia i dzielnego jeźdźca. Taki wzorzec do naśladowania. Mimo że mamy więcej niż po osiemdziesiąt lat, nadal jesteśmy w wieku młodzieńczym. Wszyscy, którzy na Winnym Wzgórzu nie mogą oderwać od nas oczu i ustawiają się do fotografii, mówią, że chcą mieć zdjęcie przy chłopcu z konikiem. Nie przy jeźdźcu i wierzchowcu, lecz przy chłopcu z konikiem.

Żrebak unosi głowę, wypręża się, podrywa obie przednie nogi, rży i rusza kłusem wokół skweru, na środku którego tkwi betonowy cokolik. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Kłusuje i się rozgląda, jakby nie mógł nacieszyć się swobodą.

A co to takiego? Konik wysła pytanie do chłopca i pokazuje głową na rosłe drzewa, za którymi schowały się poobijane fragmenty półkolistej rudery.

– Pozostałości po muszli koncertowej z czasów, kiedy Zielona Góra była Grünbergiem. Do miasta przyjeżdżali artyści, w tym miejscu grali i śpiewali ku radości mieszkańców. Latem w niedzielę po południu grünberczycy całymi rodzinami przychodzili pod dęby, jak nazywali ocieniony plac przy Schützenstrasse, dzisiejszej Strzeleckiej. Tu, gdzie trochę zapuszczony skwer, drewniane ławki z oparciami stały rzędami jak w kinie. Po lewej i prawej stronie gospodnicy rozstawiali kramy z kiełbaskami i bułkami, lemoniadą, piwem i winem, watą cukrową, preclami. Było wesoło, głośno i beztrosko.

A tam? Konik podchodzi do parkanu dzielącego podwórze na dwie części.

– Strzelnica sportowa. Dawniej, jeszcze wtedy nie było nas na świecie, za tą ścianą zbierali się uczestnicy szkółki strzeleckiej i raz w roku walczyli o honorowy tytuł króla bractwa kurkowego. Potem bractwo przepoczwarzyło się w niedzielną gildię strzelania. A jeszcze później powstał najsławniejszy polski klub skupiający wyczynowych strzelców.

Konik kręci głową z niedowierzaniem. Żałuje, że skwer przy Strzeleckiej był miejscem ich pobytu tylko przez czternaście lat. Gdyby dłużej, widziałby radosne twarze tych sportowców, którzy przywozili medale z igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata i Europy. Stanisław Marucha, Józef Sadurski, Małgorzata Książkiewicz, Dorota Bidołach, Ireneusz Jagodziński, Krzysztof Stefaniak, Zbigniew Fedyczak, Julita Macur, Łukasz Czapla, Sylwia Bogacka. Konik chce spytać, gdzie przebywali wcześniej. Dlaczego obaj znaleźli się akurat na skwerze przy Strzeleckiej? I dlaczego w tym ocienionym miejscu znajdowali się przez czternaście lat?

Na Winnym Wzgórzu chłopiec i konik zawsze porozumiewali się bez słów. Toteż i teraz chłopiec domyśla się, jakie pytania zaprzatają głowę jego przyjaciela. Zaczyna

od informacji, że pierwszą dyscypliną sportową w powojennej Zielonej Górze, która od ciepłej wiosny do mroźnej jesieni wabiła mieszkańców na boiska, bez wątpienia była piłka nożna. Zimą siatkarze na zmianę z koszykarzami zbierali się w halach przy Chopina i Moniuszki. Był jeszcze jeden popularny sport. To boks, który skupiał na sobie uwagę gołowąsów i młodszych mężczyzn. Najpierw taka sekcja powstała w fabrycznym klubie Wagmo, niedługo potem w kolejarskich Zielonych, a jeszcze później w milicyjnej Gwardii. Początkowo zawody odbywały się na prowizorycznych arenach, ustawianych obok ratusza, na boisku za Sulechowską i na skwerze przed kasynem milicyjnym przy Strzeleckiej. Mimo że potem przeniesiono je do sal z zapleczem sanitarnym, organizowane turnieje nie miały wielkiej rangi przede wszystkim dlatego, że w mieście strojącym się na stolicę regionu brakowało prawdziwego ringu. Takiego kwadratowego podwyższenia z czterema słupami narożnymi, do których są przymocowane liny obszyte miękkim materiałem.

W czyjej głowie ulął się pomysł, żeby w czasie Winobrania w 1948 roku urządzić turniej bokserski i zaprosić zawodników z Poznania, Kalisza, Wrocławia, Gorzowa, tego kronikarz nie zanotował. Jak myśl szybko padła, tak i szybko zgasła. Trudno, nie udało się, mówili ci, którzy mieli nadzieję, że podopieczni pokażą, na co ich stać, a przy okazji zaczną rozslawiać miasto. I wtedy komendantowi miejskiej milicji przypomniało się, że gdy wiosną z matką i ojcem był w jednostce wojskowej 2597 w Krośnie Odrzańskim, gdzie jego młodszy brat składał przysięgę, przed salą na wprost bramy widział zagrodę-zagrodę. Brat powiedział, że to profesjonalny ring bokserski. Najpierw zajmował narożne miejsce w sali gimnastycznej, ale ponieważ w pułku nie znalazł się nawet jeden chętny do boksowania, dowódca kazał wynieść zagrodę na plac. Zresztą żeby boksować, to należy ćwiczyć refleks, uniki, mięśnie. Trzeba uczyć się zadawania ciosów prostych, z dołu, z boku, sierpowych, podejść, odskoków, odchyień, zwarć, bloków, ustawiania się w gardzie. Ring to jeden, wcale nie najważniejszy sprzęt. Do boksowania są potrzebne worki treningowe i przede wszystkim specjalne rękawice. A w ogóle żołnierze mają dość ganiaania po poligonie, to i żadnemu nie w głowie okładanie się pięściami wtedy, kiedy można poleżeć. Służba nie drużba, ogłosił brat komendanta to, co powtarzał każdy żołnierz. I dodał, że trzeba ją odbębnić, bo co to za mężczyzna, który nie służył w wojsku? Na takiego nawet kusiajda nie zerknie.

W drodze ze Strzeleckiej na Kasprowicza, gdzie była miejska siedziba milicji, wystraszony opiekun sekcji bokserskiej zastanawiał się, co przeskrobał, że komendant kazał go natychmiast wezwać. Przecież nikomu nie rozkwaśił nochala, z nikim się nie pokłócił, niczego nie podwędził, na nikogo nie doniósł, nikt ze strony matki i ojca nie żyje za granicą. Czasem wypije w kasynie więcej niż wypada, ale zawsze płaci i nigdy się nie awanturuje. Czy tylko on? Opiekun musi świecić przykładem, pewnie więc o to chodzi. Do polityki się nie wtrąca, ale jeżeli będzie trzeba, to zacznie omijać kościół i nawet dziś jest gotów zapisać się do partii. A może żona, która uczy historii w szkole na placu

Słowiańskim, znowu powiedziała coś niepochlebnego o władzy i któryś szczeniak powtórzył to swemu ojcu milicjantowi, a ten doniósł do komendanta?

Komendant, gdy trener bokserów wszedł do jego gabinetu, podniósł się zza biurka, wyciągnął rękę na powitanie i kazał usiąść przy stole. Nie będzie źle, ucieszył się, ale jeszcze nie był tego pewny. Ci, których komendant wzywał na Kasprowicza, mówili, że zawsze na początku uśmiechał się, a potem z grubej rury potrafił tak przywalić, że człowieka zimny pot oblewał. Może jednak będzie dobrze, ledwie tak pomyślał trener bokserów, gdy komendant spytał o przygotowania do turnieju. „Odwołaliśmy imprezę”, wyjaśnił. „Jak odwołaliście? Mieliliście na to zgodę? Czyją?” „Informowaliśmy, że ze względu na brak profesjonalnego ringu nie możemy zorganizować turnieju z okazji Winobrania”. „A staraliście się o taki ring?” Opiekun bokserów powiedział, że profesjonalny ring mają w Kaliszu. Jest też w Poznaniu, ale nie ma czym go przywieźć. „Aha, taka sprawa”, mruknął komendant i wlepiwszy wzrok w trenera, długo kręcił głową. „To ja wam powiem, że kiepsko się staraliście. Dzwoniłem do ce-ce-centra-li... Taki ring, jaki wam jest potrzebny na turniej winobraniowy, od trzech lat stoi nieużywany w Krośnie Odrzańskim”, powiedział komendant. „Rozmawiałem z dowódcą pułku. Wypożyczycie wam. Jak trzeba, to i da za darmo. A ja dam wam zisa. Jutro z rana weźmiecie dwóch chłopaków i hajda do Krosna. Ulica Piastów. Jednostka wojskowa 2597. Jak już tam przyjedziecie, to rozejrzyjcie się. Może jeszcze będzie coś do zabrania”.

Konik zrobił pytającą minę.

– Wtedy ciebie i mnie przywieźli na ten skwer – powiedział chłopiec, wyciągając rękę w kierunku cokołu. – Czternaście lat później sekretarz klubu Gwardia, Stanisław albo Kazimierz Ryba, kazał wywieźć nas stąd na Winne Wzgórze. A gdzie było nasze miejsce, zanim znaleźliśmy się na skwerze przy Strzeleckiej, pokażę ci za tydzień. To będzie dłuższa wyprawa. Na całą noc.

*

Sygnal od profesora o nagim chłopcu i żrebaku skręcającymi na podwórze Gwardii komisarz Syski zaliczył do fantazji starszego pana. Na wszelki wypadek jednak zapisał go w książce przebiegu służby. W zasadzie powinien posłać tam radiowóz, tym bardziej że do niedawna obiekt przy Strzeleckiej należał do policji, ale tego nie zrobił. Nawet nie pochwalił się aspirantowi Bascie, kto dzwonił i co od niego usłyszał. Nie chciał się ośmieszyć w oczach podwładnego. Rano, zamiast z komendy jechać prosto na Zacisze, gdzie żona czekała na niego ze śniadaniem, skręcił na Winne Wzgórze. Zgłoszenie Pauliny i Jarka o tym, że zginął chłopiec z konikiem, najpierw uznał za dowcip smarkaczy. Potem zaczęły ogarniać go wątpliwości. Dziewczyna i chłopak wypili o kieliszek wina za dużo, to pewne, ale w ich zachowaniu było coś, co jednak zaniepokoiło komisarza. Gdyby rzeczywiście w nocy zginęła rzeźba i się wydało, że

dwie osoby w tej sprawie dzwoniły do komendy, a oficer dyżurny zlekceważył sygnał, Syski miałby przerąbane. Drugi raz w ostatnim roku. I jaka poruta. A przy tym koniec nadziei na powrót do pionu kryminalnego. Do emerytury będzie siedział w dyżurce.

Passata postawił przed wejściem do Palmiarni, mimo że litery na tablicy pod znakiem wskazującym miejsce do parkowania układały się w napis „Wyłącznie dla samochodów gości”. Z rana Palmiarnia jeszcze była zamknięta, więc bez obawy, że ochroniarz pokaże na znak i spyta go, czy umie czytać, obszedł budowlę. Zatrzymał się na zachodniej, tej bardziej nasłonecznionej krawędzi wzgórza, skąd schody prowadziły ku zatłoczonej samochodami alei Konstytucji 3 Maja. Po prawej i lewej ręce miał winnice już ogołocone z gron. Na ławeczce osłoniętej przywiewniętymi krzewami winorośli dostrzegł dziewczynę i chłopaka. „Może to ci sami, którzy w nocy dzwoniли do komendy? Tamci twierdzili, że są po studiach, a ci wyglądają na licealistów. Też tu przychodziłem”, przypomniał sobie komisarz. „I robiłem to samo, co robią chłopak i dziewczyna”. Dopiero teraz zaczął powoli schodzić wzrokiem do miejsca, gdzie powinna stać rzeźba. „Jest!” Uśmiechnął się pod nosem. „Może rzeczywiście było tak, że ktoś próbował ją ukraść, a ci, którzy po trzeciej nad ranem dzwoniли do komendy, wypłoszyli złodzieja?”

Wolno, rozglądając się na obie strony, jakby coś zgubił, zszedł po schodach do miejsca, gdzie, odkąd pamięta, stoi figura z brązu. Jak niemal wszyscy, którzy tu przychodzą, jedną rękę położył na połyskującym w porannym słońcu grzbiecie konika, a kciukiem i palcem wskazującym drugiej chwycił chłopca za siusiorka, po czym sprawdził, czy na pewno nikt nie uszkodził rzeźby. „Przecucie mnie nie myliło”, ucieszył się i dodał w myślach: „A jednak miałem rację, że nie posłałem radiowozu na Strzelecką. Ale, bym się ośmieszył”.

Dopiero teraz Syski zdał sobie sprawę z tego, że od urodzenia mieszka w Zielonej Górze i dotąd nie zainteresował się przeszłością miasta. To znaczy wiedział tyle, ile usłyszał jeszcze w liceum na Kilińskiego. We Wrocławiu, gdzie studiował prawo, i w Legionowie, gdzie uczył się policyjnego fachu, nikt nawet nie napomknął o dziejach Zielonej Góry. Na początku roku przeczytał w „Lubuskiej”, że ukazała się ilustrowana opowieść o zielonogórskich pomnikach *Signum Temporis*, pióra Igora Myszkiewicza z fotografiami Władysława Czulaka. Nie wyobrażał sobie, żeby nie było w niej pogłębianej informacji o chłopcu i koniku. Przecież to najbardziej rozpoznawalny znak Zielonej Góry. Mimo oszronionych skroni Syski postanowił, że musi się dowiedzieć, kto, kiedy, gdzie, dlaczego i z czyjej inicjatywy wykonał tę rzeźbę. Artysta, który zanim wziął dłuto do ręki, wcześniej musiał studiować anatomię człowieka i podpatrywać zwierzęta. Musiał też, co komisarz uznał za istotniejsze, nadać postaciom odlanym w brązie tajemniczą moc. W śródmieściu jest wiele pomników, większych, wyznaczających trasy wycieczek, a mimo to każdy, kto wejdzie na zachodnią stronę Winnego Wzgórza, fotografuje się z chłopcem i konikiem. Ten, kto wykonał rzeźbę, musiał być pierwszorzędnym artystą i świetnym znawcą psychiki ludzkiej.

*

– Halo, policja?!

– Oficer dyżurny komendy miejskiej w Zielonej Górze, komisarz Syski – spokojnie, wręcz majestatycznie przedstawił się policjant.

– Pan mi nie uwierzy.

– W tym miejscu różne rzeczy słyszałem. Czasem były to sygnały nie z tej ziemi. Mimo to zawsze starałem się najpierw wysłuchać obywatela. Proszę zatem powiedzieć, co się wydarzyło, że o tej porze pan telefonuje do policji.

– Jestem proboszczem niewielkiej parafii koło Drzonowa. Wie pan, gdzie jest Drzonów?

Byli tacy, którzy podawali się za kominiarzy, zaginionych w lesie, nieboszczyków, nawet za przybyszy z obcej planety, którzy zabłądzili w mieście, ale nigdy za księdza. Mimo to Syski zerknął na podświetloną mapę z granicami zielonogórskiej komendy. W pierwszym odruchu chciał odrzec, że każde dziecko wie, gdzie leży Drzonków i że słynie z basenów, hal sportowych, boisk, kortów tenisowych, hoteli, targów i wystaw, a latem tego roku odbyły się tam mistrzostwa świata w pięcioboju nowoczesnym, ale wstrzymał się z odpowiedzią. Nie tylko jemu myliły się obie miejscowości. Chodziło mu po głowie, że w Drzonowie jest muzeum wojskowe. Ponieważ nie był tego pewny, ponaglił dzwoniącego:

– Proszę mówić. – Zakrywszy główkę mikrofonu dłonią, rzucił do aspiranta Basty: – Jakiś bzik podaje się za klechę. Pewnie nie może zasnąć, to nadaje. Żeby to nie było kazanie o złych policjantach i dobrych parafianach. Że też akurat w nocy z soboty na niedzielę ktoś taki musi zadzwonić.

– Pan mi nie uwierzy – powtórzył proboszcz. – Sam nie mogłem w to uwierzyć.

– Nie uwierzę, póki nie dowiem się, dlaczego o tak późnej porze ksiądz telefonuje do policji.

– Przed położeniem się do łóżka mam w zwyczaju przechadzkę po gospodarstwie. Sprawdzam, czy drzwi do zakrystii na pewno zostały zamknięte. Czy wszystkie lampy przed plebanią się palą. Tak też zrobiłem i dziś. Proszę sobie wyobrazić, że tuż za ogrodzeniem widziałem młodzieńca na koniu.

– Kogo ksiądz zobaczył? – Strzelił śmiechem komisarz.

– Młodzieńca na koniu.

– Aa, ksiądz zobaczył młodzieńca na koniu.

– Nagiego, jak go Pan Bóg stworzył.

– Nagiego – powtórzył Syski z udawaną powagą i mimo to się roześmiał. – Może to nie był młodzieniec na koniu, proszę księdza proboszcza, tylko baba na miotle? Albo jakaś istota pozaziemska? Na przykład kosmita? Marsjanin? Ufok? A może anioł? Albo święty Hubert, patron myśliwych i leśników wybrał się na polowanie?

– Pan sobie żartuje.

– Proboszcz też robi sobie żarty. – Policjant nawet nie próbował ukryć tego, że nie traktuje poważnie spostrzeżenia księdza. – A ten koń to galopował co sił w nogach czy leciał, machając ogonem i kopytami?

– Pan mi nie wierzy.

– Uwierzę, jeżeli ksiądz powie, jakiego umaszczenia był koń.

– Nie zrozumiałem.

– Chodzi mi o kolor konia.

– Kolor? Zaraz... Jakby miedziany z domieszką... Nie, bardziej brązowy. Miejscami nawet szarozielony. Na szyi i zadzie jakby pokryty patyną. Taki sam kolor ma sygnaturka w dzwonnicy przy naszym kościele.

– A chłopak? To znaczy młodzieniec?

– Też bardziej brązowy i miejscami w odcieniu patyny.

– W którą stronę popędzili?

– Wzdłuż lasu. Prosto na północ. Jakby do Krosna.

– Czy jeszcze ktoś widział to, co ksiądz proboszcz widział?

– Oprócz mnie na plebanii nikt nie mieszka. Gospodyni przyjdzie z rana.

– Kościelny?

– To starszy człowiek, sołtys, były nauczyciel... Jeszcze by mnie uznał za osobę niespełna rozumu.

– A ksiądz na pewno dobrze się czuje? Może wezwać karetkę? Proszę podać dokładny adres. Numeru telefonu nie potrzebuję, bo pokazał mi się na wyświetlaczu.

– Panie komisarzu...

– Nie dziwię się, gdy zwraca mi głowę ktoś ubzdryngolony albo desperat.

– Ja...

– Komu jak komu, ale osobie duchownej nie wypada robić żartów z policji państwowej. Czy ksiądz zdaje sobie sprawę z tego, że umyślne wprowadzenie w błąd policjanta na służbie może zakończyć się aresztem, ograniczeniem wolności lub wysoką grzywną nałożoną przez sąd?

– Ale ja...

– Dobranoc, księżo proboszczu. Życzę słodkich snów – rzucił Syski i wduśli czerwony klawisz w pulpit sterowniczy. – Jeszcze nie minęła północ, a świrińcy już dzwonią – powiedział do pomocnika.

Aspirant Basta uśmiechnął się i machnął ręką, jakby tłumaczył komisarzowi, że nie powinien zapisywać takiej rozmowy w książce przebiegu służby. Szkoda miejsca i czasu. Do rana będzie więcej podobnych sygnałów.

– A czy czasem dzisiejszej nocy księżyc nie jest w pełni? – spytał komisarz, jakby to miało wszystko wyjaśnić. Podczas pełni chorzy psychicznie czują się najbardziej pobudzeni.

– Pełnia była tydzień temu.

– Wtedy też zadzwoniła jakaś panienka, że ukradli tego chłopca i konika, co stoją koło Palmiarni.

*

– Skręcimy w lewo i zobaczysz miejsce, które było naszym drugim adresem. Tam przebywaliśmy dwanaście lat i pewnie byłoby to nasze miejsce na dłużej, może nawet na zawsze, gdyby nie ring bokserski – mówi chłopiec, gdy maszerują oświetlonym tunelem ulicy Piastów w Krośnie Odrzańskim. – Za tydzień zobaczymy jeszcze więcej.

„To będzie trzecia wyprawa. Daleka i dłuższa. Najważniejsza, bo do kolebki”. „Tak powiedział ten, który podał się za Iluminautę i który znał tajemnicę naszego narodzenia, dlatego dał nam moc wędrowania. Zawsze z soboty na niedzielę mamy wybywać z Winnego Wzgórza. Za tydzień odwiedzimy miejsce, gdzie przyszliśmy na świat”, cieszy się konik. Lubi te nocne stępowania, toltowania, kłusowania, galopowania, cwałowania, przemykania i poranne szybkie powroty na zachodnie zbocze Winnego Wzgórza.

– Najpierw zobaczysz dwa skrzydła szerokiej bramy. Zawsze są zamknięte. Przed nimi chodzi żołnierz w hełmie na głowie i z karabinem na ramieniu. Otwiera je tylko na czyjś rozkaz. Za bramą jest rozległy plac z czterech stron okolony budynkami. Kwaterują w nich żołnierze. Najpierw na czapkach nosili czarne orły trzymające w szponach wieńiec, wewnątrz którego znajdowała się swastyka. Opinali się pasami z klamrą, na której był napis „Gott mit uns”. Rozmawiali po niemiecku. Potem do koszar wprowadzili się inni żołnierze. Na czapkach mieli białe orzełki z rozpostartymi do lotu skrzydłami nad tarczą amazonek. Ci mówili po polsku.

Konik chce spytać, co robią żołnierze i dlaczego mieszkają w budynkach okalających rozległy plac za zamkniętą bramą, gdy chłopiec daje mu znak ręką, że za chwilę wszystkiego się dowie.

– Wtedy miasto nazywało się Crossen an der Oder. Zielona Góra była Grünbergiem, Gorzów – Landsbergiem, Kostrzyn – Küstrinem. Berlin zawsze był Berlinem. W 1936 roku Berlin, stolica Rzeszy Niemieckiej, przygotowywał się do przeprowadzenia zawodów sportowych. Z tej okazji Międzynarodowy Komitet Olimpijski ogłosił konkurs sztuki i literatury. Namówiony przez prezesa Izby Sztuki Rzeszy rzeźbiarz Hans Krückeberg zdecydował się wziąć w nim udział. To imię i nazwisko musisz wryć sobie w pamięć. Nie pytaj dlaczego. Zaraz zrozumiesz, dlaczego jest ono takie ważne. Nawet bardzo ważne. Dla nas – najważniejsze. Słyszałeś, co i ja wiele razy słyszałem, że naszym ojcem jest austriacki rzeźbiarz Josef Thorak. Ten sam, którego odlane w brązie postacie stoją w Jagniątkowie na Dolnym Śląsku, Ustce nad Bałtykiem, Gdańsku, Zaskoczynie na Pomorzu. Na zamówienie władz Torunia wykonał pomnik Mikołaja Kopernika, który ostatecznie stanął w jego rodzinnym Salzburgu. Wiele razy słyszałeś od tych, którzy przychodzą nas oglądać na Winnym Wzgórzu, jak powtarzają za autorami przewodników dla turystów, że Thorak jest i naszym ojcem. To nieprawda. Pomiędzy tym, co

stworzył Thorak i co powstało w pracowni naszego ojca, występuje wiele podobieństw, ale Austriak nie jest naszym ojcem.

Prawdziwym ojcem rzeźby *Chłopiec z konikiem* jest urodzony w 1878 roku w Treuenbrietzen koło Poczdamu wychowanek berlińskiej Akademii Sztuki Hans Krückeberg. W czasach, kiedy w Niemczech obowiązywał kierunek, przez krytyków sztuki nazywany narodowosocjalistycznym, nasz ojciec tworzył popiersia z brązu, posągi, płaskorzeźby, figury parkowe, postacie zwierząt w tradycyjnym, neoklasycystycznym stylu. Ojciec nie był ignorowany przez władze i kolegów rzeźbiarzy z Izby Sztuki Rzeszy, ale i nie zdobył uznania oficjalnej krytyki, chociaż bardzo się starał przypodobać jednym i drugim. Co innego sądzili zwyczajni odbiorcy odwiedzający galerie i parki, w których stały prace naszego ojca.

Co wyrzeźbić, żeby oczarować jurorów, berlińczyków, recenzentów i gości igrzysk? Z tym pytaniem Hans Krückeberg mocował się tygodniami. Odpowiedzi nie było, aż którejś nocy, gdy księżyc był w pełni, obudził się i poczuł się tak, jakby ktoś wkrał się do jego głowy. Ten ktoś, mimo że nie odezwał się słowem, kazał mu wstać, iść do pracowni i naszkicować to, co wyrzeźbi. Ojciec potem opowiadał swoim kolegom, że czuł, jakby to nie on prowadził węgiel po szkicowniku. Jakby jakaś niewidoczna postać wzięła jego rękę i najpierw nakreśliła ciebie, potem mnie. Ani tego dnia, ani następnego, ani przez kolejne dni Hans Krückeberg nie odrywał się od pracy. Zaniepokojona tym jego żona najpierw poprosiła o pomoc profesora Weisffloga, zaprzyjaźnionego z rzeźbiarzami doktora psychiatrii, ale on zamiast postawić diagnozę, to, co się wydarzyło po tamtej nocy, uznał za wenę twórczą. „Żadnemu rzeźbiarzowi nawet najlepszy lekarz nie jest potrzebny, a pani małżonek to wielki rzeźbiarz i znakomity artysta, aczkolwiek jeszcze niedoceniony. Proszę zaność do pracowni śniadania, obiady i kolację”.

Tak było do inauguracji igrzysk 1936 roku w Berlinie, kiedy odbyła się wystawa sztuki. „Tam pierwszy raz pokazaliśmy się publicznie i od razu przy nas zaczęli się gromadzić berlińczycy. Jedni widzieli w tobie i we mnie odlane w brązie postacie wyrażające wręcz niemożliwy do okiełznania żywioł. Drudzy tylko arkadyjską młodość. Ponadto zwiedzający wystawę mnie podziwiali za niezwykle harmonijną, wręcz klasyczną sylwetkę. Dla wielu wojskowych stałem się wzorcem młodzieńca. Niejedna dziewczyna we mnie się zakochała. Twoja wyraźnie obronna postawa nie była obojętna zwiedzającym. I mimo że jesteśmy przyjaciółmi, od tamtego czasu nie chcesz dać się poskromić. Twoje nieokiełznanie przede wszystkim podoba się młodym, buntującym się przeciw nakazom, wzorcom, anachronicznym normom etycznym i prawnym”.

Po zakończeniu igrzysk i wystawy ojciec zastanawiał się, gdzie nas umieścić. Mogliśmy zdobyć ogród przy stadionie na Charlottenburgu albo któryś z berlińskich parków, nadal budzić podziw mieszkańców miasta i przyjezdnych, a szczególnie dziewczyn lubiących przy nas się fotografować. Wtedy starszy syn naszego ojca, porucznik w ówczesnym Krośnie, powiedział, że miejsce chłopca z konikiem powinno być zaraz

za bramą koszar wojskowych. Żeby ci, którzy ją przekraczają, poczuli się pewniejsi siebie, i potem jako żołnierze mieli na kim się wzorować. Dowódca batalionu piechoty, późniejszemu generałowi Eckhardowi von Geysie, pomysł adiutanta się spodobał. Późną jesienią 1936 roku stanęliśmy na postumencie za bramą koszar przy ulicy Piastów. Wtedy miała ona inną nazwę.

Od września 1939 roku zza murów tych koszar żołnierze wyruszali na front, ich miejsce zajmowali następni i następni. Zmieniali się dowódcy pułków, kolory mundurów żołnierzy, polska mowa zastąpiła język niemiecki, a mimo to myśmy stali w tym samym miejscu. Tak było do jesieni 1948 roku. Wtedy do dowódcy jednostki wojskowej 2597 zatelefonował komendant zielonogórskiej milicji. Dzień później przyjechał trener bokserów z Zielonej Góry po zbędny w pułku, dlatego wyniesiony z sali sportowej na plac profesjonalny ring. Gdy żołnierze załadowali ring na zisa, trener spytał dowódcę, czy w koszarach jest jeszcze coś, co mógłby wypożyczyć, żeby turniej bokserski z okazji Winobrania miał okazałą oprawę. Pułkownik Karpowicz wzruszył ramionami, a towarzyszący mu adiutant pokazał głową na ciebie i na mnie. Jeszcze tego samego dnia zmieniliśmy adres: z placu za bramą przy ulicy Piastów w Krośnie na skwer przy Strzeleckiej w Zielonej Górze. Mieliśmy tam stać kilka dni, do czasu zakończenia turnieju. Staliśmy czternaście lat.

Czternaście lat później, kiedy do domku winiarskiego z czasów Augusta Gremplera dobudowano szklarnię i wstawiono do niej palmy, było wiadomo, że to miejsce podbije serca zielonogórczyków i turystów. Wtedy nas przeniesiono na zachodnie zbocze Winnego Wzgórza, skąd rozciąga się widok na aleję Konstytucji 3 Maja i wyrastające w dali nowe miasto.

*

– To o wiele ładniejsze miejsce niż rozległy plac za bramą koszar i ocieniony dębami skwer przy Strzeleckiej. Bardzo mi się tu podoba – powiedział konik, pokazując głową na krzewy winorośli wygrzewających się w słońcu.

– Ty mówisz ludzkim głosem? – spytał zaskoczony chłopiec.

– Obiecuję, że będę mówić jedynie wtedy, kiedy będziemy sami na wzgórzu. I tylko ty będziesz mnie słyszeć.